

Czytamy książki...

Biały człowiek nad Ogowe

Nowy Axel Munthe wśród czarnych na równiku

Nazywa się Albert Schweitzer i zasługuje chyba na nazwę nowego Axela Munthe. Axel Munthe, autor głośnej „Księgi z San Michele” leczyl nędzarzy Paryża, Neapolu, Schweitzer pojechał ratować murzynów podzwrotnikowej Afryki.

Dziwny ten człowiek napisał dziwną książkę. Schweitzer był profesorem uniwersytetu w Strasburgu, zajmował się działalnością literacką, koncertował na organach i dał się poznać jako wybitny muzyk. I nagle ten człowiek tak silnie związany z kulturą europejską, rzuca Europę, wyjeżdża do centralnej Afryki, jako lekarz.

We wstępie do swej książki „Wśród czarnych na równiku” w ten sposób wyjaśnia swoją decyzję: „Czytałem wiele i słyszałem często od misjonarzy o nędzy nieszczęśliwych dziecinnych dusz, a im więcej się nad nią zastanawiałem, tem bardziej niepojętą wydawała mi się obojętność Europejczyków dla humanitarnego postępowania, do którego wzywają ich dalekie krainy. Przypomniałem sobie o bogactwie i Łazarzu wydała mi się skierowana do nas. Jesteśmy jako ów bogacz, gdyż dzięki postępowi medycyny rozporządzamy licznymi wiadomościami oraz środkami przeciw chorobom i cierpieniom, a niezmierzone korzyści, płynące z tych bogactw, wydają się nam czymś zupełnie naturalnym; w dalekich zaś kolonjach żyją, niczem biedny Łazarz, kolorowe ludy, narażone nie mniej od nas (a może nawet więcej) na ból i choroby, a pozbawione całkowicie środków do ich zwalczania. Grzeszymy wobec tych ludów, jak grzeszył bogacz, który nie umiejąc wejść w położenie Łazarza, bezzwłocznie odmówił mu pomocy”.

Misjonarze duszy i misjonarze ciała

Od słowa do czynu droga była krótka. Schweitzer w przypływie naprawdę niezwykłego porwy miłości bliźniego rzuca karierę uniwersytecką, chociaż przekroczył już trzydziestkę zaczyna studia medyczne, w r. 1913 otrzymuje dyplom doktora medycyny, żona zaś jego dyplom pielęgniarstwa i postanawia wyjechać do centralnej Afryki, na brzegi rzeki Ogowe.

O wyborze miejsca, zdecydowało to, że Schweitzer słyszał od misjonarzy, jak bardzo jest potrzebny lekarz w tych stronach, ogarniętych rosnącą ciagle epidemją śpiączki.

W ten sposób Schweitzer stał się lekarzem na stacji misyjnej w Kambarene, w głębi Czarnej Ładu.

J. S. Bach pracuje na murzynów

Schweitzer marzy o wybudowaniu prymitywnego choćby szpitala z salą operacyjną. Środki na budowę zabuwa samouczniem — przeznaczają na ten cel wpływy ze swych koncertów na organach i ze sprzedaży swej książki o J. S. Bachu, wydanej w trzech językach.

Czy widzieliście kiedy takiego człowieka? Zostaje lekarzem żeby ulżyć doli murzynów, pisze studjum o Bachu, żeby mieć pieniądze na wyjazd do Afryki, daje koncerty na organach, żeby móc kupić zapas lekarstw.

Wreszcie wyjeżdża i staje się jakgdyby misjonarzem ciała wśród misjonarzy duszy. Gdy tamci niosą prawdziwe światło wiary duszom, on — ratuje ciała.

Kraj ludzi-leopardów

A cel podróży Schweitzera — nie był to kraj cichy i spokojny. Była to Afryka, głąb Afryki — kraj ludzi pierwotnych, kraj przesądów, niezrozumiałych dla Europejczyka fanatyzmów, kraj tajemnic. Z jedną z najdziwniejszych zetknął się lekarz już w czasie podróży. Dowiaduje się, że na stacji w Lambarene, tam dokąd jedzie, przed dwoma laty popełnił morderstwo człowiek-leopard. Co to? Co to znaczy?

*) ALBERT SCHWEITZER: Wśród czarnych na równiku. Przekład Zof. Petersowej. Warszawa, 1935. Wyd. Nowoczesne. Złota Seria. Tom I.

„Są to istoty — wyjaśnia Schweitzer — ogarnięte szaloną myślą, że w rzeczywistości nie są ludźmi, lecz leopardami, wobec czego muszą zabijać innych. Popelniając morderstwa, starają się we wszystkim naśladować tych drapieżników i czolgają się na czworakach, przywiązując sobie do rąk i nóg leopardzie pazury lub żelazne szpony, aby ich ślady dawały złudzenie kroków leoparda, zaś swym ofiarom przegrzają tętnice na szyi wzorem owych wielkich kotów.”

Najbardziej zaś przerażający i dziwny jest fakt, że osobnicy ci stają się ludźmi — leopardami nie z własnej woli: pewien rodzaj związku bez ich wiedzy robi z nich ludzi — zwierzęta. Z krwi zamordowanego człowieka przysiadają w tym celu zaczarowany napój w ludzkiej czaszce, który potajemnie dodaje się do pożywienia osobie zgóry upatrzonej. Ofiara, wypiszy miksturę i dowiedziawszy się, że był to napój czarodziejski i że dzięki niemu należy teraz do klanu, nigdy się nie buntuje przeciwko przeznaczeniu, gdyż wiara w nieuniknioną potęgę zaczarowanego napoju jest w tych ludzkości głęboko zakorzeniona. Poddają się więc losowi bez szemrania. Przedewszystkiem otrzymują wtedy rozkaz sprowadzenia własnej siostry lub brata w jakieś utajone miejsce, gdzie zwabiona ofiara zamordowana zostaje przez ludzi-leopardów, poczem i nowy członek klanu ma prawo do mordowania”.

Nakoniec Schweitzer osiedliwszy się w domku, który misjonarze dali mu do użytku, rozpoczął na praktykę. Warto też dodać, że tęskniąc za muzyką, sprowadził sobie statkiem fortepian zbudowany specjalnie z uwzględnieniem pedzwołnikowych warunków klimatycznych i zaopatrzony w organowe pedały. Instrument ten ofiarowało Schweitzerowi paryskie Towarzystwo Miłośników Bacha. Prezent piękny i dość daleko wysłany, bo z Paryża do środka Afryki.

Jak wyglądał dzień pracy Schweitzera? Jakże to pracuje lekarz „ordynujący” wśród czarnych i mający pacjentów nieraz spośród ludożerców? Pomocnikiem doktora został ochrzczonego murzyn, imieniem Józef, znający język francuski, ex-kucharz. Posługiwał się on dość oryginalnymi określeniami będąc tłumaczem między doktorem, a czarnymi pacjentami: tak na przykład określał Schweitzerowi dolegliwości chorego: „Ten człowiek ma ból w prawej pieczęci”, albo „Te kobiety boli pierwsza krzyżowa i połędwica”.

Doktor ogłosił regulamin dla pacjentów. Regulamin nakazywał pacjentom przynosić z sobą pożywienie na cały dzień, bo niewiadomo czy będą mogli być zaraz przyjęci, dalej surowo nakazywał zwrot puszek blaszanych i butelek od lekarstw (w Afryce często cenną rzeczą jest to, co w Europie wyrzucamy na śmiecie), zabraniał zgłaszania się do doktora wówczas, gdy przyjedzie statek, bo wtedy doktor „pisze do Europy po dobre lekarstwa”. Na zakończenie regulaminu — wezwania, żeby te słowa powtórzyć po wszystkich wsiach nad rzeką i jeziorami.

Schweitzer pracuje od rana. o wpół do pierwszej pomocnik doktora ogłasza: „doktor chce jeść”, pacjenci ze zrozumieniem kiwają głowami i odchodzą w cień, żeby zjeść swoje banany. O drugiej wracają i są znów przyjmowani do zmroku. Wraz ze zmrokiem pojawiają się moskity i wtedy trzeba przerwać pracę.

Tubylcy nazwali Schweitzera „Oganga”, co w narzeczu Galoa znaczy: „człowiek rozdający fety”. Rzec jasna, nikt nie wierzy w podawane przez doktora przyuczyny choroby, choroby przypisują wpływom złych duchów, ludzi czarnom, lub „robakom”. Gdy Schweitzer pytał się o początek i przebieg choroby, opowiadali zawsze długie historie o „robaku”, jako najpierw siedział w nogach, potem przeszedł do głowy, stamtąd powędrował do serca,

stąd do płuc, aż wreszcie umieszczał się w brzuchu...

Stasza choreba: ból zębów

Jedną z najstraszniejszych w puszczy chorób jest ból zębów. Żeby to zrozumieć, trzeba pamiętać, że przeciw w jakiejś afrykańskiej wiosce — rzecz jasna — nie ma dentysty. Gdy Europejczyk zachoruje na zęby, może nawet dostać szału i popełnić samobójstwo. Raz np. jeden z Europejczyków opowiadał Schweitzerowi, że doprowadzony do ostateczności, kazał żonie wziąć zwykłe obciążki, sam położył się na podłodze, żona uklękła na nim, ujęła ząb obciążkami, następnie on schwył rękami dłoń żony i silnym szarpnięciem wyrwał sobie ząb.

Gdy murzyni dowiedzieli się, że Schweitzer wyrwa zęby. Scho dzili się do niego z prośbami, błagając, ażeby wyrwał im wszystkie zęby i sprowadził nowe z Europy: te dziwne żądania były wynikiem tego, że kilku starszych krajowców otrzymało za pośrednictwem misjonarzy sztuczne szczęki „zrobione przez białych”.

Obok tych zabawnych i charakterystycznych szczegółów nie brak u Schweitzera opisów walki z prawdziwymi kłeskami Afryki: z czarną śpiączką, ze skrytobójstwem, z manją trucicielską. Schweitzer nie ma wprawdzie talentu literackiego w tym stopniu, co Axel Munthe, stworzył nie opowieść, tylko pamiętnik, ale pamiętnik tak egzotyczny, zawierający tyle interesujących wiadomości, że warto go przeczytać.

Zesłaniec wyrzeka się dobrodziejstwa wolności „Życie przeciętnego Europejczyka jest życiem więźnia”

Paryż, w styczniu. Benjamin Ullmo, były zesłaniec, po 6 miesięcznym pobycie w Paryżu, powraca do Gujany (Gujany), gdzie odbywał przez 26 lat swą karę.

Powraca, nie mogąc pogodzić się z mechanizmem nowoczesnego życia. Opuszcza Paryż dla dalekich spokojnych kontynentów, o ciężkim gorącym klimacie, gdzie godziny płyną wolno, lecz myśl pracuje swobodniej, niż w zgiełku, zaduchu i pośpiechu europejskim.

B. Ullmo, oficer marynarki francuskiej, został skazany na zesłanie za szpiegostwo w roku 1908, pozostaje 26 lat w Gujanie, z tego 15 w zupełnej samotności na wyspie djabełskiej.

W ciągu tego okresu śledzi z zainteresowaniem, za pomocą książek i pism, przebieg wojny światowej, jej zakończenie, zmiany polityczne i kulturalne.

Czeka cierpliwie na dzień oswobodzenia, na powrót do ojczyzny i zetknięcie się z nowoczesną kulturą. Wreszcie przychodzi upragniony moment. Ullmo powraca do Europy.

Niestety, zamiast radości, ogarania go, wrastające z każdym dniem rozczarowanie. Ostatecznie, po 6-cio miesięcznym pobycie

we Francji decyduje się na powrót do Gujany.

Jakże otrzeźwiająca jest krytyka byłego zesłańca. Nasze swobody obywatelskie są dla niego swobodami stworzonymi urodzonych w klatce, nie znających prawdziwej wolności.

O zdobycach naszej cywilizacji, wyraża się z pogardą, nie może zrozumieć niepojętą wielkość przedstawieli 20-go wieku do robienia wszystkiego jaknajwyżej, jak najwięcej, bez troski o jakość.

Czy jest to prawda, że prowadzimy życie podobne do życia więźniów? Jak przedstawia się wolność osobista Europejczyka?

Przeciętny człowiek jest zamknięty w granicach swego państwa i nie może ruszyć się poza jego obręb, bez pozwolenia władzy (a władza nie zawsze pozwala).

Praca przeciętnego urzędnika, robotnika, sprzedawcy, jest zmechanizowana, 8-mio godzinna, z wydzielonymi przerwami na posiłek i spoczynek. W niektórych państwach mechanizuje się nie tylko ruchy obywateli, lecz również i ich myśli, zmuszając je do krążenia według ustalonych i państwowych formulek.

Na ekranach

„Wesoły tydzień” Flipa i Flapa w kinie „Majestic”

Nowy program kina „Majestic”, dziwnie odbiega od poziomu poprzednich, takich np. jak świetny film „Chłopcy z placu broni”. Program obecny robi wrażenie zapechaj — dziury, między jednym filmem, który już trzeba było zdjąć z ekranu, a drugim, który jeszcze nie nadszedł. Wskazuje na to choćby fakt, że kino bardziej reklamuje „Złotcieja Sere” z Fr. Marchem (znanym z filmu „Śmierć odpoczywa”), niż „Wesoły tydzień” Flipa i Flapa.

„Wesołe tygodnie” złożone z krótkometrażówek, tygodników „Fox’a”, „Paramountu” i filmów rysunkowych.

OKAZJA dla PANÓW WYPRZEDAŻ INWENTARZA 10.000 KRAWATÓW 10.000 po rewelacyjnie niskich cenach rozpoczyna dnia 22 stycznia firma **RECORD CRAVATES** Warszawa, MARSZAŃSKA 137 Korzystajcie z wyjątkowej okazji!

wych kilkakrotnie były już urządzone w Warszawie i zawsze cieszyły się wielkimi powodzeniami, jako ekstrakt czystej sztuki filmowej. Była to jakby piąta esencja tych walorów, jakie może dać wyłącznie kino.

Program „Majesticu” idzie po innej linii. Główna jego część z Flipem i Flapem nie jest krótkometrażówką, a nie potrafi wypełnić całego programu. Dołączono więc resztę byle jak.

Wreszcie — sam gwóźdź programu: Flip i Flap. Zdaje się, że ten film zlepieno z dwóch różnych występów Flipa i Flapa. Pierwsza część jest satyrą na modną w Ameryce grę z drewnianymi lamigłówek i europejskiego widza nie nie obchodzi, druga — wygląda na wykrajaną z jakiegoś filmu historyjkę. Humor Flipa i Flapa nie opiera się tym razem ani na komizm sytuacji, ani na zręcznych gagach. Jest to coś w rodzaju sztuczki cyrkowych kłownów.

Trzeba przyznać, że nieraz z tych prostactkich żartów zaśmiewamy się do łez, ale całość pozostawia osad niesmaku. Flip i Flap wywierają tym razem właśnie takie wrażenie. Jedynym ciekawszym motywem jest doprowadzanie pewnych scen do krawcowego absurdu, tak że chwilami zdaje się, że akcja filmu dzieje się w jakimś świecie przewróconym do góry nogami.

Streszczając: dla dzieci do lat 12 — program dobry. Z. B.

Ofiary

Na Sekcję Bar-kową

Pp. K. Wilhelm	10 zł.
T. i M. K.	10 „
M. S. dla Głównego	15 „
Kisielnicka	5 „
H. Z.	5 „
W. P.	3 „
Zakołski W. (dla Stasia O.)	5 „
J. Nerpiak	3 „
Kraszewska (dla O. Leona)	1 pacz.
Leopini	1 „
Kisielnicka	1 „
K. — walizka z ubraniami	1 „
Bezimiennie	1 „
A. Z.	1 „
I. Kosińska (dla Stasia O.)	1 pacz.
O. S. dla Stasia O.	1 pacz.
Dla A. G.	1 pacz.
Bezimiennie	1 pacz.
Dla biednego studenta.	
W. S.	1 pacz.
Dla E. G.	
Pp. Popławscy	5 zł.
Dobrzański	5 „
Lipkowski	5 „
Stan. Zaliński	5 „
H. Szulgińska	3 „
N. H. Daniewicz	5 „

Str 180

J. Kuszel i E. Balucki „Przegrana”.

J. Kuszel i E. Balucki „Przegrana”.

Str. 177

domu. Grozi pani niebezpieczeństwo. Zresztą sam będę pani pilnował.

Wyszli na świeże powietrze. Nieznajomy próbował wszcząć rozmowę, lecz Lola odpowiadała monosylabami. Czula jakiś lęk i niepokój i to umieszczenie jej w obcym domu wydawało się jej dziwne i niezrozumiałe.

Spacer ten nie trwał długo, bo zaczęła padać deszcz. Lola wróciła do swego pokoju, przejrzała wszystkie gazety, ale nic nie znalazła.

Wieczorem służąca przyniosła lampę, wślad za nią zjawił się Stark:

— Czy pani nie potrzebuje czegośkolwiek?

— Nie, dziękuję. Dlaczego do tej pory nie ma pana Barczyńskiego?

— Już powinien być przyjechał. Prawdopodobnie zatrzymała go jakaś poważna sprawa. Ale napewno przyjdzie — dodał uspokajająco.

Lola westchnęła swobodniej, gdy wyszedł. Obecność tego człowieka była jej wysoce nieprzyjemną, a wiecznie latające oczy, głos i kocie ruchy napępiali ją obrzydzeniem.

Naogół czuła się znośnie: ustąpił ból głowy, znikło przykre uczucie mądrej słodyczy w ustach; zjadła kolację z apetytem prawie normalnym.

Wzięła książkę i próbowała czytać, jednak nie mogła. Dopiero teraz przyszła reakcja, a z nią okropne zmęczenie i senność; ledwo dzwignęła się z krzesła. Skonstatowała z przyjemnością, że pościel jest czysta, świeża, rozebrała się i zgasila lampę.

Sen momentalnie się ulotnił, pozostało obezwładniające znużenie. Zaczęła myśleć z wysiłkiem, który wkońcu zwyciężył apatię:

— Dlaczego Stefan mnie tu wysłał?... W tak dziwny sposób?! Przecież usiłuj mnie. Napewno usiłuj, bo skądby się wziął ten wstrętny smak w ustach... I nie nie powiedział, nawet nie uprzedził... Niemożliwe, absolutnie niemożliwe! Przecież nie pokazał się cały dzień, nie napisał jeszcze słów... zamknęli mnie jak w więzieniu.

Udział Barczyńskiego stracił wszystkie cechy praw-

na przystani. Zapłacił w okienku kasowym i przy pomocy służącego zszedł do łódki.

Dał rozkaz człowiekowi siedzącemu przy sterze, dokąd ma jechać. Ślizgowiec odbił od przystani i pomknął w górę Wisły.

Minęła godzina. Warszawa została daleko w tyle, za zakrętem ukazał się Wilanów.

Barczyńskiego już zaczęła niecierpliwość długa podróż. Rozglądał się na wszystkie strony, oczekując zjawienia się Lipowieckiego. Nagle usłyszał za sobą:

— Niech pan się nie ogląda, panie Stefanie, i niech pan opowiada wszystko.

Poznał głos Lipowieckiego. Przypomniał sobie, że nawet nie przypatrzył się człowiekowi, siedzącemu przy motorze. Pamiętał tylko, że czapkę miał dziwnie nasuniętą na oczy.

Lola otworzyła oczy. Nad jej głową wisiały belki pobielonego sufitu z lampą pośrodku, ozdobioną abażurem domowej roboty i przystrojonym we frezle z kolorowych paciorków; zobaczyła górny brzeg różowej ściany, podzielonej siatką na duże czworoboki, w których naprzemian były wymalowane fantastyczne bukiety jaskrawych kwiatów i niemniej fantastyczne ptaki w locie.

Lola przymknęła oczy. Po chwili otworzyła — widok pozostał ten sam. Zapomniała o bólu głowy, który był pierwszym wrażeniem po przebudzeniu, uniosła się na łokciu: leżała na szerokiej, drewnianym łóżku, zajmującym prawie ćwierć pokoju, była ubrana, tylko kapelus, torebka i parasol leżały obok na stoliku, przykrytym haftowaną narzutą z grubego, chłopskiego płótna; w kącie stała blaszana umywalka, na dzbanku leżał czysty ręcznik; u wezłowania wisiał czerniały obraz Matki Boskiej Częstochowskiej z pękiem zasuszonych kwiatów polnych, na przeciwległej ścianie — duża fotografia, przedstawiająca parę staromodnie ubranych kobiet, oraz kilku mężczyzn o nastrożonych wąsach i dużych złotych dżonach, wyciągniętych na kolana. Przed łóżkiem leżał dywanik z samodziastu; dwa krzesła i taboret dopełniały umeblowania.

Opuściła się na poduszki, zaczęła zbierać myśli: